

Heikki Kännö

Sömnö

Finlandia, Sammakko 2018
tłum. Karolina Wojciechowska

Tłumaczka jest członkinią Kolektynu Tłumaczy Literatury Fińskiej KIRJA.

Fragment został przetłumaczony dzięki wsparciu FILI — Finnish Literature Exchange. Więcej informacji na temat
FILI można znaleźć na stronach:

<https://fili.fi/en/> oraz <https://kolektywtlumaczykirja.com/dla-wydawcy-fili/>

Uwertura
CHATA HUNDINGA

1

Zbudowane z bali i głazów domostwo stoi u stóp skalistego urwiska, pośrodku sosnowego lasu, pod samym niebem. Nad przysposobionym na pastwisko podwórzem unosi się silny zapach gnoju. W palenisku trzaskają sosnowe polana, wichura omiata kąty.

Na zewnątrz słychać szybkie kroki i brzęk; jak gdyby ktoś, przekroczywszy podwórze, potknął się o schodek i wyłamał deski z balustrady, i niemal natychmiast po tym drzwi otwierają się z impetem. Gwałtowny podmuch wiatru wypcha do środka poodłamywane z drzew gałęzie oraz chwiejącego się pośród nich olbrzymich rozmiarów mężczyznę, który zamyka wypaczoną zasuwę i wymijając wyrastający ze środka izby potężny jesion, zatacza się w stronę paleniska, klęka na rozgrzanej podłodze i po chwili bezsilności kładzie się na rozpostartej na ziemi niedźwiedziej skórze. Jeszcze unosi głowę pokrytą rozczochraną brodą i gęstą czupryną, i śpiewa:

*Do kogokolwiek należy ten ogień,
tu trzeba mi spocząć!*

Piękny tenor mężczyzny budzi kobietę, która spieszy do izby, i płomień przywiązania rodzi się między obojgiem, zanim jeszcze mogą porządnie na siebie spojrzeć.

*

Rozmawiają stłumionymi głosami, z głowami przy sobie, tak że szepczą słowa wprost na usta drugiego. Kobieta przedstawia się jako Zyglinda. Mężczyzna kryje swoje imię, twierdząc, że nie wie nawet, jak powinno się go wołać. Odrzuca imię *Friedmund*, *Pokojny* i określa się mianem *Friedlos*, *Niespokojny*, co z kolei oznacza człowieka wykluczonego poza nawias społeczeństwa, którego zgodnie z germańskim prawem może zabić ten, kto tylko zechce. Temu mężczyzna się nie sprzeciwia, za to kręci głową na imię *Frohwalt*, *Szczęśny*, które niestety, jak mówi, zupełnie go nie opisuje, przychodzi mu więc nazwać się *Wehwalt*, *Nieszczęśny*. To niechaj będzie moje imię, szepcze, z braku lepszego.

– Mój ojciec zwał się Wolfe. Był bardziej wilkiem niż człowiekiem. Matkę i siostrę straciłem podczas napaści rozbójników, którzy zrównali też z ziemią mój dom. Dorastałem w cieniu lasów, pod ochroną ojca, a wrogowie znają mnie jako *Wölfinga*, *Wilcze Szczenię*.

Gdy tylko ten, który zgodził nazywać się Wehwaltem, kończy swoją wypowiedź, z zewnątrz dobiega końskie rżenie, na schodach grzmią buty podkute żelazem i do środka wchodzi Hunding. Jest to krzepki, brzuchaty mężczyzna z ramieniem grubości uda i niedźwiedzych łapach o mocy kruszenia czaszek. Spojrzenie Hundinga natychmiast pada na poharatanego wojownika i Zyglindę, po czym opuszcza on niesione ciężary i chwyta za rękojęść miecza.

Następuje ostrożna wymiana uprzejmości, podczas której przybysz ujawnia, że jest nieuzbrojony oraz że schronił się u Hundinga z ufnością i ma pokojowe zamiary. Hunding ustępuje i zgadza się udzielić mu azylu. Jednak w dalszej części rozmowy wychodzi na jaw, że obcy jest właśnie tym, na którego polowanie Hunding został najęty, a wtedy oferta ochrony zostaje skrócona do zaledwie tymczasowej, tylko na tę jedną noc, i Hunding, bas, śpiewa:

*Jutro zglądę cię, Wölfingu:
słyszaleś me słowa –
strzeż się!*

Hunding oddala się do sypialni, a Zyglinde szepcze:

– Podam mu kolację i domieszam takich kropli, że do rana nie będziemy musieli znosić więcej szykan!

Kobieta krząta się chwilę przy kuchni i spieszy do Hundinga z zastawioną do pełna tacą w rękach. Po powrocie ściąga bawełnianą suknię. Płomień tańczy na gładkiej skórze. Wehwałt przełyka ślinę i rozsuptuje wiążące ubrania rzemienie.

Zyglinde palcem kreśli runy na wznoszącej się i opadającej w rytm spokojnego oddechu piersi Wehwałta, i opowiada:

– Gdy sprowadzili mnie do tego domu, odbyło się huczne wesele, na którym goście, wina i mięsiwa było pod dostatkiem. Ukwiecona, siedziałam pośród świętujących, choć to Hunding był punktem centralnym, a ja – rekwizytem, nie znałam nawet nikogo z weselników. Hunding nie oświadczył mi się. Nie poprosił o moją rękę ojca ani brata, nie całował mnie w blasku księżycy, ani razu nie wymknął się ze mną na poddasze, ale miast tego zapłacił kilka miedziaków rozbójnikom, którzy spustoszyli mój dom i oderwali mnie od rodziny. To właśnie świętowali! Upajali się radością tego porwania!

Około północy w drzwiach stanął ubrany na szaro starzec, który jedno oko miał zakryte brzegiem kapelusza. Omiótł spojrzeniem pijanych weselników, wyszarpnął od pasa najpiękniej lśniący miecz, jaki kiedykolwiek widziałam, przecisnął się pomiędzy hałasującymi opojami ku jesionowi i wbił miecz w jego pień aż po samą rękojeść. Biesiadnicy uciszili się, a starzec wpatrywał się we mnie jednym okiem, w którym odbijało się światło gwiazd, i wiedziałam, że ten cudowny miecz i związane z nim moje serce przeznaczone są bohaterowi, który wyrwie mnie ze szponów Hundinga.

Wehwałt zrywa się na równe nogi i daje susa pod jesion, aby zobaczyć zdobioną rękojeść wystającą ze szramy w sękatej korze.

– Potrzebuję broni na zaprzysiężony przez Hundinga pojedynek, więc zaprawdę, mam nadzieję okazać się mężczyzną, którego ci przepowiedziano.

Zyglinde na palcach podchodzi do Wehwałta i zawisa mu na ramieniu.

– Wszyscy weselnicy próbowali wyciągnąć miecz z drzewa, lecz ani jednemu nie udało się go poruszyć. Od tamtego czasu swoich sił próbował każdy mężczyzna, którego noga postąpiła w tej chacie, a i Hunding niejedną raz nadwyrężył grzbiet. Jednak boginie przeznaczenia zdradziły mi, że synowi Wolfego może pójść inaczej.

Wehwałt wykrzykuje:

– Jedynie tchórze nazywali mojego ojca Wolfem! Jego prawdziwe imię to *Wälse*!

Zyglinde odpowiada:

– Jeśli to *Wälse* był twym ojcem, ty musisz być *Wälsung*, a w takim razie to dla ciebie ojciec wbił w drzewo swój miecz! Nie możesz się więc dalej nazywać *Nieszczęsnym*. Daruję ci imię, w którym wybrzmi moja miłość: *Zygmunt, Zwycięski*! Niechaj odtąd znają cię jako *Zygmunta*!

Zygmunt łapie za rękojeść miecza.

– Niech tak będzie! Jestem Zygmunt, Zwycięski, a oto miecz mojego ojca! Tak więc nie w drzewie mu spoczywać, a w mej dłoni, a gdy zajmie już należne miejsce, będzie nosić imię *Notung*! Notung, pomocnik w niedoli, wybawca mój i mojej kochanej Zygliny!

Zygmunt wrywa miecz z jesionu i wznosi go ponad głowę. Zygliną oplata mężczyznę ramionami.

– Zyguncie, mój zaginiony bracie, kochanku, skarbie mego życia!

Zygmunt opuszcza Notunga i obejmuje siostrę.

– Zyglino, zaginiona siostrze, ukochana, narzeczona, światło moich oczu!

Przyjęcie urodzinowe wielkiego kompozytora Franza Liszta w Zürichu, 22 października 1856 roku.

W przedpołudniowej części zorganizowanej przez Richarda Wagnera uroczystości odbywa się prezentacja ustępów z *Walkirii* przy akompaniamencie Liszta, w wykonaniu pani Heim oraz samego Wagnera, a do tego poematy symfoniczne Liszta grane na dwa fortepiany oraz głośne czytanie tekstów z nowopowstałych *Tristana i Izoldy* oraz *Die Sieger*. Obecni: poeta Georg Herwegh, pani Emilie Heim, pisarka Mathilde Wesendonck, księżna Karolina von Wittgenstein z córką Marie, siostra Wagnera Klara, muzyk Alexander Winterberg, kompozytor Theodor Kirchner, polityk Johann Jakob Sulzer i oczywiście solenizant, kompozytor Franz Liszt.

Po przeżyciach artystycznych radosne towarzystwo potrzebuje jedzenia i odpoczynku, przenoszą się więc do stołu zastawionego różnymi smakołykami, nie wyłączając wina i likierów. Meandrujący dialog skacze z tematu na temat, a ponieważ na miejscu jest tak wielu artystów i przyjaciół sztuki, a nawet znany polityk, trudno jest uniknąć rodzenia się swoistych *phrases d'armes*, kiedy jedni pytają, drudzy odpowiadają, odpowiedzi są atakowane, a czasem także pytania, i ogólnie konwersacja toczy się przyjemnie i hałaśliwie.

Z Weimaru przyszła depecha: wiersz Hoffmanna von Fallerslebena, który Georg Herwegh czyta z emfazą. I gdy tym sposobem towarzystwo zwraca się w stronę poezji, kończy się na niewielkiej debacie na temat Heinricha Heinego, do którego wierszy napisane zostało wiele z najważniejszych pieśni Roberta Schumanna, i którego z tej przyczyny szczególnie bronić chce niesłabnący Schumanna wielbiciel Teodor Kirchner, a Liszt ze swojej strony atakuje, na co Mathilde Wesendonck pyta, czy jednakże i zdaniem Liszta Heinrich nie zasłużył sobie, aby jego "pseudonim literacki zapisano w świątyni nieśmiertelności", na co Liszt odpowiada:

– Zgoda, ale błotem.

Gdy zebrani najedli się już i narozmawiali do woli, przechodzą z powrotem do pokoju muzycznego. Liszt siada przy fortepianie, rozkłada przed sobą usianą notatkami partyturę, a Wagner prosi "najlepszą możliwą publiczność", aby uprzejmie pozwoliła mu zaprezentować swoje najnowsze dzieło, *Zygryda*, za którego niedokończenie kompozytor przeprasza.

– Normalnie nie przedstawiłbym tak niekompletnej kompozycji, ale *Tristan i Izolda* pochłoną cały mój nadchodzący czas, więc *Zygryd* prawdopodobnie będzie musiał poczekać na swoją kolej.

Wagner i Emilie Heim sadowią się za pulpitemi, a magiczne palce Franza Liszta rozpoczynają uverturę.

W przerwie towarzystwo ponownie zasiada do stołu.

Wagner opowiada, że napisał *Pierścień Nibelunga* od końca do początku, choć przystępował do pracy z gotową wizją całości dzieła, i mimo że wielu z obecnych zna tę historię, niektórzy chcą dowiedzieć się więcej.

– Sama w sobie sprawa nie jest jakaś szczególna – śmieje się Wagner. – Na początku planowałem rozbudować jedną długą operę na kształt *Orestei*, jednak potem zrozumiałem, że potrzebuję jeszcze prologu. Moim zamiarem było stworzenie tragedii w greckim stylu pod tytułem *Śmierć Zygryda*, ale po wszystkim trzymałem w rękach libretta

czterech dramatów muzycznych. Komponować zacząłem w roku 1853 od uwertury do *Złota Renu*, która objawiła mi się we śnie w La Spezii.

Wagner uśmiecha się.

– Czyli w rzeczy samej złoto pochodzi z głębin Morza Liguryjskiego, a nie Renu.

Wagner unosi kieliszek amaretto, wdycha przesadnie słodki aromat migdałów i odstawia naczynie na stół.

– Sen to niebywale istotny element pracy artystycznej, która zawsze odbywa się na pograniczu snu i jawy. Każda sztuka jest w swej istocie podobna snom. Zwróciliście uwagę? Sen jest mimowolnym objawieniem poetyckich i religijnych obszarów ludzkiego umysłu, a sztuka – celowym. Czy ktoś chciałby się ze mną spierać? Jeśli nie, jestem gotowy na kolejny akt.

Wydanie książki *Werner H. Berger – sztuka i życie* całkowicie mnie wyczerpało i opuściłem zorganizowany przez wydawcę wieczór autorski skołowany. Wyobrażałem sobie, że dane mi będzie cieszyć się poczuciem dumy z ukończonej roboty; odepchnąłem od siebie potężny stos owoców gruntownej pracy badawczej, ale zdałem sobie sprawę, że wciąż mam przed sobą pustą kartkę i nie wiem, co z nią zrobić. Nie byłem na to gotowy. Gdy ruszyła prasa drukarska, wydawało mi się, że jestem wyżęty do cna i że uszczęśliwi mnie wyrzucenie z myśli Bergera i jego rodziny, teraz jednak musiałem przyznać, że na żadnym etapie pracy nie wierzyłem poważnie w spełnienie się tej iluzji.

Powinienem promienieć zadowoleniem, ale zamiast tego miałem uczucie, że nie wykonałem tej właściwej pracy. Czułem się jak lizus. Czułem się jak błazen. A co najgorsze: czułem się jak oszust.

Nie spodziewałem się takich przemyśleń, gry rano ubierałem się i pastowałem buty. Myślałem, że czeka mnie uroczysty dzień, podczas którego skupię się na publikacji i nawet nie starczy mi czasu na zajęcie myśli czymkolwiek innym. W drodze do parku Kungsträdgården obiecywałem sobie, że nie wrócę do tego typu rozważań co najmniej do końca wieczoru. Usiadłem w parkowej kawiarni od strony ulicy Hamngatan i uczciłem książkę filiżanką cappuccino parzonego z robusty, inaczej kawy kongijskiej. Jednak pomimo złożonej sobie obietnicy, podnosząc do ust Frati Minori Cappuccini, jasno pojąłem, że leżąca na stoliku, pachnąca świeżym drukiem biografia to jedynie stacja pośrednia i że właściwa opowieść wciąż czeka na przelanie na papier. Wiedziałem, że muszę powrócić do tematu i że nawet wtedy Bergerowie pewnie nie dadzą mi spokoju.

Tak więc już tego samego wieczoru zacząłem planować kontynuację biografii, która nawet jeszcze nie trafiła do księgarń. Wyrzebałem z kieszeni notes, odciągnąłem gumkę, wysunąłem końcówkę długopisu i na pierwszej czystej stronie napisałem wyraz *Sömnö* i otoczyłem go prowizoryczną ramką. Tematyka była oczywista. Wszystko to, czego zobowiązania oraz mój własny tchórzliwy respekt i łącząca się z nim potrzeba schronienia nie pozwoliły mi opowiedzieć. Przyszedł mi do głowy wuj Wenera, nieżyjący już pełnomocnik rodzinnej firmy, i burzliwe dyskusje, które z nim prowadziłem. Moja myśl ubrała się w takie słowa: „Fortunio, to będzie książka dla ciebie. Zobaczmy, co twoi następcy, czyli zatrudnieni po twoim odejściu firmowi prawnicy, myślą na ten temat; czy dojdzie do procesu i linczu, którymi mi groziłeś, czy spisałeś testament, w którym pada moje nazwisko; czy wymieniłeś szczegóły, których nie wolno mi wyjawiać, i konsekwencje ich opublikowania”. Zamówiłem czterdziestkę calvadosu, z zamkniętymi oczami rozkoszowałem się głęboko zapadającym, dojrzałym w dębowych beczkach smakiem i pomyślałem: „Wernerze, nie rozumiem, dlaczego chciałeś cokolwiek zataić. Czyżbyś jednak nie ufał w trwałość swojej sztuki? Toż to ona miała być przedmiotem, który zachowa swoją istotę i wartość bez względu na opinie otoczenia. A może ty również przestraszyłeś się myśli o naruszeniu twojej prywatności? A co z twoją przemową, że ludzie powinni wystawiać życie na pokaz, jak to twoim zdaniem czynią artyści? Czy miałeś mnie za zaryglowaną szafę, w której mógłbyś zdeponować myśli i czyny, ukryć je przed spojrzzeniami? Wygląda na to, że się pomyliłeś. Ale wiesz co? Znaczenie twojej sztuki może wznieść się na należne jej wyżyny dopiero jeśli przetrwasz presję, którą dla ciebie przewiduję”.

Pomyślałem również o żonie i synu Wenera: „Mio i Jonathanie, wybaczcze, ale muszę to zrobić. Po prostu nie mam innej możliwości”.

Potem zacząłem planować książkę.

Nieupiększona prawda o podróży Wenera do Afryki, wyspa Robinsona Crusoe, pierścień Nibelunga, mistycyzm G. I. Gurdżijewa, Leonarda Césaire’a i poety Friedricha Tiecka, Per Erik Sten i wydarzenia na Sömnö...

Ręce trzęsły mi się z emocji, gdy tworzyłem wstępny szkic rękopisu, listę słów-kluczy i harmonogram. Przerwałem pisanie, aby głęboko odetchnąć, bo w tym momencie nie rozumiałem już, jak mogło mi się udać napisanie biografii jedynie pobieżnie przedstawiającej najważniejsze ze wszystkich postaci i detale. Następnie zamknąłem notatnik, włożyłem długopis między kartki i opuściłem kawiarnię ze świadomością, że ponownie zanurzam się w oszałamiający świat Bergerów i że czas milczenia wreszcie dobiegł końca.

Pera Erika Steina poznałem na początku lat 90. na zebraniu Szwedzkiego Towarzystwa Teozoficznego w Sztokholmie w budynku L, którego klatki schodowe, pokoje, sale, a nawet kuchnia pełne są rozmaitych dekoracji, jakby specjalnie zamówionych na potrzeby uroczystości poświęconych kwestiom teozoficznym. Wyjście otaczają poroża i posągi satyrów. Sklepienie okazałej sali podtrzymują bogato ornamentowane kolumny. W złożonych gipsowych ramach pozuje grupa mężczyzn o posępnych twarzach – przedstawiciele wyższego stanu, członkowie rodu właścicieli budynku, biskupi, lichwiarze, urzędnicy rządowi, wolnomularze.

Tamtego wieczoru, gdy tajemnice teozofii usidłały naszą żądną wiedzy tajemnej grupkę, moją uwagę przykuł przystojnawy w jakiś dziwnie ospały sposób, ciemnowłosy młodzieniec chowający się w mroku tylnej części pokoju. Zauważyłem, że rozgląda się dookoła i nie mogłem oprzeć się czarowi na pierwszy rzut oka widocznych cech, które zdradzały, że za klasyczną urodą twarzy kryje się człowiek okrutny i nieuczciwy. Czułem, jakbym oglądał *Portret Doriana Graya*, splugawiony dopiero pierwszymi świadczącymi o występku pociągnięciami pędzla. Ta obserwacja wzmogła moją ciekawość do tego stopnia, że po zakończeniu zebrania pospieszyłem w kierunku młodzieńca z zaproszeniem, by towarzyszył mi przy późnej kolacji. Okazało się, że z powodu trudności finansowych Per Erik nie odżywał się porządnie już od wielu dni, i w ten oto sposób nabrałem zwyczaju karmić go i pić regularnie, dopóki po paru miesiącach nie opłacił sobie za odziedziczone środki podróży na Daleki Wschód, aby w życiu klasztornym poszukiwać prawdy, do której nie udało mu się dotrzeć przy pomocy teozofii.

Per Erik Sten dał się wciągnąć w rozmowę wierny swojemu stylowi; kilkoma spojrzeniami ocenił wartość mojego garnituru, w wyliczeniach zwrócił też uwagę na klasę restauracji i butelkę drogiego wina, którą zamówiłem bez mrugnięcia okiem, i w rezultacie ułożył balladę, w której przedstawił się jako mistyk pokroju samej Madame Bławatskiej. Oszacował, że w ten sposób wywrze wrażenie na człowieku, którego obiekt zainteresowania odgadł jedynie na podstawie faktu, że spotkał go na zebraniu teozofów. Uśmiechnąłem się i dałem mu mówić.

Natura człowieka pokroju Pera Erika zmusza go do kłamstwa nawet wtedy, gdy prawda mogłaby okazać się bardziej zajmująca od zmyśleń. Kłamię, jakby sam siebie testował; w jakim to labirynt uda mu się zaplątać i jak się z niego potem wydostanie. Szybko zorientowałem się, że w żaden sposób nie mogłem wiedzieć, co było prawdą, a co bajdurzeniem. Zrozumiałem jednak, że jego spojrzenie na najbardziej fascynujące w swej istocie tematy było trywialne i bez znaczenia.

Per Erik opowiadał, że z przyjacielem zawędrował na pustynię Gobi i uprawiał magię seksualną w duchu Aleistera Crowleya.

– Zaklęcia rzecz jasna nie podziałały. Mam na myśli, że nic się nie ukazało, ciemność pozostała ciemnością i tych kilka pochodni, które zapaliliśmy, oświetliło jedynie narysowany w piasku okrąg, a nie twarz boga, no ale było to przeżycie. Powiedziałbym, że z czegoś takiego nie wraca się tą samą osobą. Może jest i tak, że przywołany duch wpisuje się w samego człowieka; ta zmiana, która dokonuje się w duszy, może to ją powinniśmy traktować jako objawienie Aiwassa.

Mimo że Per Erik preferował płęć przeciwną, udało mi się w ciągu kolejnych tygodni nakłonić go do związku, zaferowałem mu bowiem możliwość zamieszkania u mnie. W tę nieco wymuszoną relację wchodziły przeciągające się do późna kolacje i wszystko to, co

kochankowie porabiają skryci przed spojrzeciami, ale również wzajemne uniki, jak to często bywa w relacjach, których fundamentem jest obopólne wykorzystywanie się. Przyznaję więc, że używam słowa "miłość" w niewłaściwym znaczeniu. Chodziło raczej o podtrzymywaną z wysiłkiem symbiozę, w której nieprzyjemnym szczegółom poświęca się możliwie jak najmniej uwagi. Otrzymałem również potwierdzenie nieuczciwości Pera Erika, gdy pewnego wieczoru po powrocie do domu odkryłem, że przepadł razem z niewielką częścią mojego majątku. Nie wziął zbyt dużo, żebym przypadkiem nie zadzwonił z tego powodu na policję, ale wystarczająco na parę miesięcy wygodnego życia. Później otrzymał spadek i przez lata nie miałem o nim informacji.

Pera Erika nie można opisać słowami "słodki drań", bo choć w młodszym wieku był i słodkim, i draniem, jego prawdziwa osobowość była pasożytem toczącym ludzi, którzy zbłądzili zbyt blisko niego. Pracę pijawki można wykonywać z klasą, ale dookoła Pera Erika unosiła się stęchła aura przegranego i nieudacznika, a i w jego intrygach nie było nic godnego podziwu. Wykorzystywał ludzi, bo inaczej nie mógł; kurczowo się ich łapał, opróżniał kieszenie, gdy odwrócili głowę, a potem bez końca plótł kłamstwa, żeby uniknąć konsekwencji.

Gdy próbujemy opisać kogoś innego, więcej mówimy o sobie samych, a ponieważ czytelnikowi łatwo pogubić się w gąszczu splątanych informacji, powstały obraz może być w jakimś stopniu złudny. Podejrzewam więc, że brzmię, jakbym czuł gorycz z powodu utraconych kosztowności, jednak wcale nie o to chodzi. Na pewno nie zostawiłbym Pera Erika samego w mieszkaniu, gdybym nie uważał, że należy mu się skromna odprawa, jeśliby zdecydował się odrzucić moje domagające się przywilejów towarzystwo.

Po powrocie z Tybetu Per Erik poczynił niespodziewanie dalekowzroczne plany. Odezwał się do mnie, jakby nic się nie wydarzyło i jakby nie zaginęła moja własność, i przy moim wsparciu założył w sutenerze na sztokholmskiej wyspie Kungsholmen małą sklepik pod szyldem *Lilla mystiska bokhandeln – Mistyczna księgarnia*. Księgarnia może i zapewniłaby dostateczne dochody, jednak Per Erik również tej pracy nie potrafił poświęcić się z takim oddaniem, jakiego wymagałoby prowadzenie rentownej działalności. Godziny otwarcia były nieregularne, sprzedaż wysyłkowa nigdy nie ruszyła i tylko nieliczni przechodnie w ogóle zauważali książki wystawione w małych okienkach sutereny, których tytuły tak czy inaczej wzbudzały zainteresowanie jedynie marginalnej klienteli. Reszta funduszy stopniała przy okazji remontu szkunera, również stanowiącego część spadku. Per Erik przysposobił do mieszkania zakotwiczony przy brzegu Östermalmu żaglowiec, ochrzczony przez niego samego *Dhyānā*, co do którego żeglowności nie było żadnej gwarancji. Układ jednak działał. Teraz Per Erik mógł mieszkać w centrum Sztokholmu, wydając tylko na prąd i opłatę portową. Tak samo udało mu się wynegocjować niski czynsz księgarni dzięki umowie opartej na handlu wymiennym. Raz w miesiącu czytał z kart tarota przyszłość gospodyni i jej najbliższych znajomych, i stał się tak zręcznym potakiwaczem, że o rozwiązanie umowy nie mogło być obaw.

Artystę Wenera H. Bergera poznałem poprzez Pera Erika Steina. Per Erik spotkał młodą bywalczynię Anitę Larsson niedługo po założeniu *Lilla mystiska bokhandeln* i Anita przekonała go do przyłączenia się do praktykującego mistykę smalandzkiego towarzystwa, w którym wpływową figurą był Werner H. Berger. Zaproszony w roli wykładowcy Werner zwrócił uwagę na nową parę, oczywiście przede wszystkim na atrakcyjną żeńską połowę, jednak zamiast do kobiety zbliżył się do jej partnera, mówiąc, że potrzebuje pomocnika w swoim atelier. Znudzeni ścisłymi regułami społeczności Per Erik i Anita wprowadzili się na jakiś czas do Wenera. Jako ogromny wielbiciel przesyconej okultyistycznymi cechami sztuki Bergera, szybko zorganizowałem wizytę w ich domu.

Pamiętam burzliwą dyskusję sprzed lat.

Siedziałem w podniszczonym fotelu w wypełnionej artykułami remontowymi, kurzem i nierozpakowanymi po przeprowadzce rzeczami kajucie Dhyāny, a Per Erik tankował fińską wódkę prosto z butelki, teatralnie przechadzał się tam i z powrotem, i potykał się o własne rzeczy. Stracił ukochaną, a duchowy przewodnik okazał się, według jego słów, "przebiegłym wężem", i rozczarowanie Pera Erika było ogromne. Choćbym i chciał popatrzeć na zaistniałą sytuację z kilku różnych perspektyw; z punktu widzenia Pera Erika, z punktu widzenia Wenera H. Bergera, z punktu widzenia Anity Larsson i dodatkowo jeszcze z własnego, nie mogłem zaprzeczyć, że Per Erik miał powód do wzburzenia.

Przy tej okazji Per Erik opisał również zdarzenie, gdy zobaczył, jak Werner wręcza Anicie do podziwiania kolekcję bezcennych klejnotów. W szkatułce na biżuterię znajdowały się trzy diamenty o wielkości ziarenek grochu, które kobieta jeden po drugim brała do ręki, aby przyjrzeć im się w świetle postawionego na stole kandelabru. Werner opowiadał, że diamenty są pamiątką po afrykańskich przygodach jego dziadka.

Per Erik odstawił płytę gipsową, która opierała się o ścianę, przez odsłonięte w ten sposób okrągłe okienko popatrzył na pogrążające się w mroku Djurgården i wybuchnął: "Berger wiedział, że Anita lubi kamienie, bo pokazała mu swój naszyjnik z onyksów i jaspisów!"

We wzburzeniu Pera Erika rozpoznałem znaną mi już zapiekłą pożądlivość. Wykorzystał moją słabość, aby otrzymać pozorne usprawiedliwienie kradzieży mojej własności i w podobny sposób próbował skorzystać również na zainteresowaniu Wenera Anitą. W rozmowach w cztery oczy Werner wspominał mi, że z domku letniskowego giną mu drobne sumy pieniędzy od czasu, gdy para się do niego wprowadziła. Prosił mnie, żebym coś z tym zrobił; jego zdaniem znałem Pera Erika wystarczająco dobrze i długo, tak więc moim obowiązkiem byłoby położyć kres kradzieżom, ja jednak prychnąłem na jego żądanie. Zachęciłem Wenera, żeby sam porozmawiał z Perem Erikiem, ale podejrzewam, że tego nie uczynił, co oznaczałoby, iż Per Erik dopiął swego: Werner gotów był płacić asystentowi za przyzwolenie na dalszy flirt z jego dziewczyną. Powodzenie tego zakrawającego na sutenerstwo przedsięwzięcia może częściowo wyjaśniać działania podjęte przez Pera Erika po zachorowaniu Wenera, o których jeszcze opowiem więcej.

Werner pokazał Anicie diamenty tego dnia, kiedy ona i Per Erik przybyli do ochrzczonego *Notungiem* domku letniskowego Bergera, w którym znajdowało się również atelier zwane *Chatą Hundinga*. Prawdopodobnie nikt nie ujrzał obrazów, do których Anita pozowała Bergerowi, o ile takowe w ogóle kiedykolwiek powstały, ale pamiętam, jak mówił o serii

Afrykańska królowa, którą stworzył dla "własnej uciechy" swojej dziewczyny. Anita wyglądała bowiem jak szwedzka wersja Katharine Hepburn ze złotych lat Hollywood.

Sam Berger przypominał starzejącego się Marcello Mastroianniego i ani trochę nie podobało mu się to porównanie. Jego zdaniem krzywdzące w całej sprawie było to, że w jego młodych latach podobieństwo nikomu nie przyszłoby do głowy, ale z posiwiałymi włosami i pobrużdżoną twarzą odzwierciedlającą jego usposobienie ciągle o tym słuchał. Pojawienie się w lustrze Mastroianniego było więc jego zdaniem jasnym znakiem nieuchronnie postępującego rozkładu i zniszczenia, i kiedy na początku naszej znajomości zachwyciła mnie ta cecha, Werner odwrócił się, by popatrzeć na siebie w lustrze, i wymamrotał: "Pieprzyć tego makaroniarza!"

Wierzę, że Perowi Erikowi szczerze zależało na Anicie, może uczucie w istocie było nawet miłością, ale mimo wszystko nie przeszkodziło mu ono w skorzystaniu na jej urodzie gwiazdy filmowej. Razem uczestniczyli w pewnych uroczystościach, na jakie Erik zdecydowanie nie miałby wstępu bez Anity, i podczas tych spotkań narodziło się wiele kontaktów potrzebnych mu do osiągnięcia wyższego statusu w organizacjach, które uważał za istotne. Rozgrywający się między Anitą, Bergerem i Perem Erikiem dramat odbywał się według znanego już schematu i biorąc pod uwagę wcześniejsze zachowanie Pera Erika, nie powinien mieć żadnego znaczenia, jednak ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że znaczenie miał, i to ogromne.

Ubrany w czarny garnitur i krawat Per Erik zdjął z pudła wiertarkę i przymocowane do niej mieszadło do farb, usiadł w gipsowym pyłe i wybuchł:

– Berger uwiódł Anitę!

Mógłbym go poinformować:

– Ty sam mu ją wepchnąłeś!

Tu jednak popełniłbym błąd, bo między Perem Erikiem i Wernerem panowała relacja duchowego przewodnika z uczniem, i musiałem przecież wziąć pod uwagę, że szczególna natura takiej więzi mogła dotknąć nawet Pera Erika Steina.